

TELEWIZJA

CO SIĘ PODOBAŁO CO SIĘ NIE PODOBAŁO

JERZY MATAŁOWSKI, aktor:

Stefan Szlachtycz chciał chyba zrobić dobry uczynek dla polityki i Kościoła, inscenizując „Nieszłomnego z Nazaretu” Kurylczyka, popełnił jednak grzech wobec teatru, bo było to przedstawienie śmiertelnie nudne. Pan Jezus jest dobrym przykładem konfliktu między religią a polityką, ale na ten temat są akurat lepsze teksty. Wstęp księdza Tischnera nie może zastąpić przedstawienia i myślę, że ksiądz dobrodziej zbyt hojnie używa ostatnio swojej osoby do podpierania nieudanych realizacji. Red. Wolicki tym razem był na swoim miejscu.

27 marca był Dniem Teatru, który jest zagrożony, bo o jego losie decydują teraz ludzie, którzy przeliczają wszystko na pieniądze, a ludzie teatru nie nauczyli się jeszcze liczyć. Spodziewałem się z tej okazji jakiegoś programu, a w nim złotej myśli w typie: „umiesz liczyć, licz na siebie”. Ale zgnębieni redaktorzy TV, sami zagrożeni 25-procentową redukcją, odfajkowali temat wspomnieniem o zmarłej aktorce Irenie Eichlerównie. To już taka polska specyfika, że doceniamy zmarłych, budujemy im kapliczki i legendę; zmarłym to już nie pomoże, a ledwie żywym tym bardziej. 10 lat byłem z Ireną Eichlerówną w Teatrze Narodowym i nie stawiała ona wtedy prawie nogi na scenie, jak zresztą przez ostatnie 20 lat. Kochała swoje gwiazdorstwo i nie chciała go konfrontować z dzisiejszym teatrem, który jest zespołowy i nie chce być taki, jak w latach 30.

Eichlerówna wspominała, że kiedyś ludzie talentu szanowali się wzajemnie i nie czuli się samotni, aktorzy nie chorowali. Tak i teraz bywa, ale nie mogła tego sprawdzić Irena Eichlerówna, bo sama się odsuwała. W 1980 roku brała

aktywny udział w zebraniach „Solidarności”, która w teatrze jest organizacją hałabardników i tak nimi sterowała, żeby wyrzucić dyrektorową i dyrektora. Potem los okazał jej patrzeć na dogorywanie Narodowego, przeżyła pożar i likwidację teatru. Chyba rok temu, w zimie zobaczyłem Eichlerównę na ulicy; wyszła z kwiatami, gdzie kupiła sobie różę. Po policzku płynęły jej łzy. O tym mógł być ten program, gdyby ktoś ruszył głową.

‘Za to na bardzo trudny i drażliwy temat „Marca ’68” telewizja odpowiedziała dobrze zrobionym programem pt.: „Dlaczego nie wróce”. Przypomniano owację w Sali Kongresowej, w czasie przemówienia Gomułki, który zaplując się, instruował Żydów, że powinni wyjechać. Spokojnie są dziś wypowiedzi emigrantów, ale jest w nich zadra. Program kończyło pytanie, czy dzieci Dajczgawanda mówią po polsku i jego spłoszona odpowiedź: „Nie! A po co?”. Też nie znajduję argumentów.

MICHAŁ SOKOLNICKI, student prawa UW:

Czwartkowy wieczór starano się nam urozmaicić na różne sposoby. Najpierw sensacja z myszką — Herkules Poirot nieśmiertelnej Agaty Christie. Kolejny raz nieco śmieszny Belg pokrzyżował plany nieczym zabójcom. Natłoczony, niczym nie zaskakujący film — ani strzelaniny, ani rozbijanych w pościgu samochodów. Tak różne to od tego, co zwykle gości w telewizji pod szyldem „kryminał”, co nie znaczy, że gorsze.

Lecz w porównaniu z „Interpelacjami” było to porywające i pasjonujące widowisko. Tylekroć obsmarowany program, jeszcze raz potwierdził swój kiepski poziom: nudny był aż do bólu. To zarzut pod adresem spierających się stron — nie osób prowadzących. Lecz i oni nie są bez winy. Znowu chaos i nieumiejętność sprawnego poprowadzenia programu. Rumba także była słaba, ale brawa za pomysł.

MARIA NUROWSKA, pisarka:

W zeszłą niedzielę Wrocław przedstawił na antenie „dwójki” „Tercet egzotyczny”, czyli upiorka kultury masowej, jak to trafnie określił jeden z recen-

zentów tej rubryki przy okazji serialu „Dynastia”. Zdumiewiające, że poza sceną to całkiem normalni ludzie. Główna artystka p. Izabella otoczona dziełmi stwarzała sympatyczne wrażenie i gotowa byłam wybaczyć jej nawet występy, dopóki się nie dowiedziałam, że niedawno zespół z powodzeniem koncertował w Filharmonii. Jezus Maria — pomyślałam — a jak oni na zawsze wypłoszą stamtąd Mozarta?

„Skłóconych z życiem” oglądałam dość chłodno. Jest kruchko, kiedy teatr udaje kino, moim zdaniem dekoracje teatralne były nazbyt widoczne. Musiałam sobie dopiero powiedzieć, że oto oglądam pożegnanie Clarka Gable’a i Marilyn Monroe, żeby się wzruszyć. Ona zresztą była bardzo dobra. Właściwie zagrała samą siebie, tę jakąś zdumiewającą niewinność obłożoną w grzeszne ciało. Panowie wypadli blado. Uporczywie nasuwało mi się porównanie z filmem Domalika „Zygfryd” według prozy Iwaszkiewiczowskiej. Debiutant po bił Amerykanów na głowę. Ten aż gęsty nastrój, te role. Nowicki przebił Gable’a, a Pakulnis dorównywała Marilyn Monroe. W końcu jeżeli uznać, że temat filmu to ona i samcy, w „Skłóconych z życiem” nie było za grosz seksualizmu, nad filmem Domalika unosił się zapach spermy. Ciekawe, co teraz robi Domalik. Może jest właścicielem szklarni?

Też mi się polskim filmem, który zniknął z ekranu telewizyjnego. Do kina chodzę rzadko, bo boję się dostać w głowę pustą butelką po piwie, a zresztą tam wyświetlają tylko filmy amerykańskie. Zawsze je lubiłam. Ale jako polski widz mam chyba prawo oczekiwać, że ktoś mi opowie o tym, co się tu dzieje. Ze ktoś to zarejestruje kamerą lepiej lub gorzej. Kiedy oglądam żyły polski film, wściekam się, ale nie wyłączam telewizora, bo zawsze coś dla siebie znajdę. Np. Marek Bargielowski w marnym serialu stworzył znakomitą kreację, albo Wiesław Michnikowski uśmiechnie się do mnie tak, że się wrzuczę do szpiku kości. Przez lata karmiłam się polskim filmem, teraz powolutku umieram z głodu.

P O L I T Y K A 15

NR 14 (1770)

6.IV.1991 R.